

THRILLERY Z PATAGONII

ZBRODNIĘ NA LODOWCU

CRISTIAN PERFUMO



THRILLERY Z PATAGONII

**ZBRODNIĘ
NA LODOWCU
CRISTIAN PERFUMO**

autornia

Oryginal work copyright:

©Cristian Perfumo

Tytuł oryginału:

Los crímenes del glaciár

Tłumaczenie: Piotr Jarco

Projekt okładki: Chevi Diseñarte

Adaptacja polskiej wersji okładki: Joanna Jarco

Redakcja i korekta: Barbara Lewandowska, Natalia Grzeszczak

Skład i łamanie: Joanna Jarco

ISBN: 978-83-971336-5-5 (druk)

ISBN: 978-83-971336-8-6 (EPUB)

ISBN: 978-83-971336-9-3 (MOBI)

autornia

www.autornia.com

e-mail: hola@autornia.com

Copyright ©2024 by Studio Link Piotr Jarco

Polska, 2024

*Dla tych, którzy są daleko od domu
lub kiedyś za nim tęsknili.*

*„Matko skało, ojcie niebo,
Twe tzy u stóp lodowca się sączą,
A gwiazdy, jedna po drugiej,
Na białym szczycie twym spoczywają,
Rozjaśniając ścieżki ciszy”.*

Hugo Giménez Agüero

PROLOG

Na katamaranie tłoczy się stu osiemdziesięciu ośmiu turystów. Ponad połowa z nich nigdy nie widziała lodowca. Gdy po czterdziestu minutach żeglugi między krami łódź w końcu opływa półwysep, na dziobie brakuje wolnego miejsca. Stoją tam Chińczycy, Niemcy, Francuzi, Brazylijczycy, Hiszpanie, Argentyńczycy i turyści wielu innych narodowości. Jedni z uniesionymi telefonami, inni z aparatami o okazałych obiektywach – wszyscy próbują uchwycić w jednym ujęciu tysiąc kilometrów kwadratowych lodu, ku któremu zmierzają.

W tym barwnym tłumie jest turysta, który nas interesuje – Włoch. On również stoi na dziobie, jednak jako jeden z niewielu nie robi zdjęć.

Megafony, zainstalowane na pokładach i wewnątrz łodzi, potęgują głos przewodniczki. Kobieta opowiada najpierw po hiszpańsku, potem po angielsku i francusku. Włoch rozumie hiszpański.

– Wiedma to największy lodowiec w Parku Narodowym i drugi co do wielkości w Ameryce Południowej. Jest pięć razy większy od Buenos Aires. Choć wydaje się, że jesteśmy blisko, to od jego czoła dzielą nas jeszcze trzy kilometry.

Przewodniczka kontynuuje, ale pasażerowie, oczarowani widokiem bezkresnego jezora lodu spływającego między czarnymi szczytami gór, już jej nie słuchają.

Między lodowcem a statkiem wyrasta ogromna góra lodowa, większa niż wszystkie inne mijane podczas rejsu. Kapitan, zamiast ją opłynąć, kieruje katamaran prosto na nią. Gdy się zbliżają, silniki cichną, a katamaran zaczyna dryfować tuż przy lodowym kolosie. Włoch ocenia, że gdyby się wysilił, mógłby dorzucić do niej kamieniem.

– To prawda, co mówią o górach lodowych – rozlega się głos z głośników. – To, co widzimy na powierzchni, to tylko dziesięć procent całości.

Włoch próbuje wyobrazić sobie ogrom niewidocznego lodu. Wystająca nad wodę część góry lodowej, choć wielka jak katedra, jest tylko ułamkiem ukrytej pod powierzchnią masy. Jej potęga sprawia, że trzy-poziomowy katamaran z dwustoma osobami na pokładzie wygląda przy niej jak drobna łupina orzecha dryfująca po oceanie.

Dwójka fotografów w brązowych kamizelkach, z profesjonalnymi aparatami w dłoniach, przeciska się przez tłum, kierując się w stronę dziobu, skąd roztacza się najlepszy widok na lodowy twór. To oficjalni fotografowie Parque Nacional Los Glaciares, których zadaniem jest robienie turystom zdjęć na tle lodowca i późniejsza sprzedaż odbitek. Podczas czterdziestominutowego rejsu wielokrotnie ostrzegają pasażerów, że lód mocno odbija światło, co utrudnia wykonanie telefonem dobrego zdjęcia. Jeśli na fotografii dobrze wychodzi pozujący, za nim widać tylko wielką białą poświatę. Z kolei gdy lodowiec wygląda efektownie, osoba na pierwszym planie zamienia się w czarną plamę.

Połowa turystów decyduje się skorzystać z usług fotografów. Reszta wciąż próbuje uwiecznić widoki telefonami. Tylko kilka osób podziwia lód własnymi oczami, a nie przez ekran czy wizjer aparatu. Włoch jest jedną z nich.

Jego wzrok chłonie każdy detal: krople wody skapujące z nawisów, ciemny błękit zagłębień, żyły czarnego osadu przypominające marmur. Przykłada do oczu lornetkę, by nie pominąć żadnego szczegółu. Ta góra lodowa, dziesięciokrotnie większa od florenckiej katedry, to najpiękniejszy widok, jaki ujrzał w życiu.

Silniki ponownie przyspieszają i łódź powoli oddala się od góry lodowej. Niektórzy turyści podążają za nią jak ćmy za światłem, przechodząc z dziobu na rufę, by wykonać ostatnie ujęcia. Gdy pływająca masa lodowa jest już zbyt daleko, wracają do wnętrza łodzi, by się trochę ogrzać. Jedni zamawiają kawę w barze, inni przeglądają na swoich urządzeniach świeżo zrobione zdjęcia. Fotografowie podłączają aparaty do drukarek ustawionych pośrodku głównej sali.

– Góra lodowa, którą właśnie minęliśmy, oderwała się dwa dni temu od czoła lodowca – mówi przewodniczka. – Dopłyniemy do niego

za dwadzieścia minut i może, przy odrobinie szczęścia, zobaczymy, jak odrywa się kolejna bryła.

Ta zapowiedź elektryzuje najbardziej zapalonych, którzy wracają na dziób. Nasz Włoch jest wśród nich.

Wkrótce statek staje przed czołem Viedmy – pięćdziesięciometrową ścianą lodu o szerokości dwóch kilometrów. Gdyby miliony ton skompresowanego śniegu, napierające w stronę jeziora, były armią, ta ściana stanowiłaby jego kawalerię. Włoch nie potrafiłby opisać słowami, jak mały i nieistotny czuje się w jej obecności, nawet gdyby mógł posiłkować się tysiącem włoskich gestów, które nosi w DNA.

Statek zatrzymuje się dwieście metrów od biało-niebieskiej ściany. Na pokładach zapada cisza. Włoch opiera się pokusie sfotografowania tego widoku. Zdjęcia i tak nie oddadzą jego piękna ani nie uchwycą trzasków pękającego lodowca, brzęczyących jak armatnie wystrzały.

Stoją w miejscu już dłuższą chwilę, gdy nagle Włoch wychwytuje nowy dźwięk, inny niż pozostałe. Donośny i tępy jak uderzenie bili. Kątem oka dostrzega ruch na zamarzniętej ścianie – kawałek lodu odrywa się od niej i zanim dociera do wody, zderza się z innym odłamkiem. Na tle czoła Viedmy bryła wydaje się małeńka, lecz w rzeczywistości ma rozmiary samochodu.

Wtedy odzywa się przewodniczka:

– Mieście oczy szeroko otwarte, bo często po małym pęknięciu następuje...

Jej wypowiedź przerywa ogłuszający ryk. Na oczach wszystkich zapada się lodowa kolumna wielkości kilkunastopiętrowego budynku, tak duża, że wydaje się rozpadać w zwolnionym tempie. Gdy jezioro pochłania lód, na pokładzie słychać zbiorowe westchnienie zachwytu. Włoch czuje uderzenie adrenaliny niczym przy szalonym zjeździe na kolejce górskiej. Chwyta się za głowę, nie mogąc uwierzyć, że ma przywilej obserwować taki spektakl natury.

Kilka sekund później z jeziora wynurzają się dwie potężne góry lodowe i setki mniejszych kawałków. Fala obmywa lodowy klif, czym wydaje dźwięk przeciągłego syku.

Włoch ponownie spogląda na ścianę, licząc na kolejne pęknięcie. Wtedy jego wzrok przykuwa coś niezwyklego – na oderwanym płacie

lodu zauważa przecinającą go bordowo-brązową linię, wyraźnie kontrastującą z błękitem lodowca.

Drżącymi rękami przykłada lornetkę do oczu. Linia przypomina kształtem odwróconą spadającą kometę. Śledzi ją wzrokiem od dołu, miejsca styku lodu z wodą, gdzie ślad koloru ochry jest dość blady. Im wyżej spogląda, tym barwa nabiera intensywności. Na samym szczycie kreska staje się niemal czarna, przywodząc na myśl łeb gigantycznego gwoźdźcia wbitego w lód, z którego sączy się rdza.

Na kołyszącym się katamaranie niełatwo jest ustawić ostrość lornetki. Turysta potrzebuje kilku sekund, aby uzyskać wyraźny obraz i kolejnych kilku, aby zrozumieć, co widzi.

– *Sangue* – szepcze do siebie po włosku.

Nagle zaczyna gorączkowo machać rękami, by zwrócić uwagę otaczających go ludzi i wskazuje na lód. Powtarza to samo słowo, tym razem nieco głośniej. Niektórzy uczestnicy wycieczki odsuwają się od niego ze strachem, jakby był chory na dżumę. Ktoś pyta, co mu się stało, ale on jest w stanie jedynie wskazywać palcem i powtarzać „*sangue*” coraz donośniej.

Jego głęboki głos niesie się po pokładzie. Jeden z fotografów podchodzi i prosi, by się uspokoił.

– Ta brązowa plama, to krew – Włochowi w końcu udaje się wykrztusić kilka słów po hiszpańsku.

Fotograf marszczy czoło i kieruje obiektyw aparatu na lód. Dziesięć sekund później rusza w kierunku wnętrza łodzi, przepychając się między turystami.

Nasz Włoch ignoruje pytania współpasażerów i zbiera się na odwagę, by ponownie spojrzeć przez lornetkę. W ciemnym punkcie, będącym źródłem zauważonej linii, dostrzega ludzkie ciało w pozycji embrionalnej. Człowiek ten ma na sobie czarną kurtkę i szarą czapkę, jaką z reguły noszą turyści – choć akurat tego nie jest do końca pewien. Nie ma jednak wątpliwości, że to ludzkie zwłoki – ciemny ślad w lodzie utworzyła krew, która wypłynęła z ciała już jakiś czas temu. Nad głową nieszczęśnika znajduje się jeszcze dziesięć metrów litego lodu.

Wygląda jak owad uwięziony w błękitnym bursztynie.

CZĘŚĆ I

EL CHALTÉN

Rozdział 1

Nocą ulica Las Ramblas w Barcelonie przypomina dziewięć kręgów piekła. Co krok zaczepiają mnie prostytutki, podejrzani faceci oferują kokainę, a podchmieleni Anglicy zataczają się pijacko, łypiąc spode łba. Idąc, trzymam ręce głęboko w kieszeniach, by zniechęcić rojących się w okolicy kieszonkowców.

Jednak to nie Las Ramblas wywołuje u mnie mdłości. Dwadzieścia metrów przede mną idzie Anna, kobieta, z którą od dwóch lat dzielę życie, a która od dwóch miesięcy mnie zdradza. Jestem tu, by przekonać się o tym na własne oczy.

Nigdy nie sądziłem, że stoczmy się tak nisko – ona sypia z innym, a ja śledzę ją jak jakiegoś przestępcę.

Powiedziała, że tego wieczoru spotyka się z Rosario, ale dobrze wiem, że kłamie. Anna rzadko widuje się z przyjaciółkami. Poza tym jej brak zainteresowania seksem – przynajmniej ze mną – i zmiana porannych pryszniców na wieczorne kąpiele mówią same za siebie. Nie mogę już dłużej ignorować tak oczywistych znaków.

Anna skręca w ulicę Ferrán, kierując się ku dzielnicy Barrio Gótico. Dociera na plac Sant Jaume, a stamtąd podąża ulicą Bisbe w stronę katedry. Gdy przechodzi pod słynnym mostem łączącym Generalitat z Casa de los Canonges, zastanawiam się, czy pamięta nasze spotkanie sprzed prawie trzech lat.

Ja doskonale pamiętam tamten moment. O świcie spacerowaliśmy tą samą ulicą, gdy zatrzymałem się, by pokazać jej wyryty na murze rysunek czaszki przebitej sztyletem – tajemnicę, której pochodzenia nikt nie potrafił wyjaśnić. Ona udawała zainteresowanie, a gdy nasze spojrzenia się spotkały, pocałowaliśmy się po raz pierwszy.

Jeśli Anna także wspomina teraz tę chwilę, to nie daje tego po sobie poznać. Przechodzi pod mostem, jakby to miejsce nic dla niej nie znaczyło. Tuż przed placem Catedral skręca w wąską uliczkę prowadzącą do placu Sant Felip Neri, jednego z jej ulubionych zakątków Barcelony.

Ja wolę inne miejsca, bardziej oddalone od centrum i turystów, ale przyznaję, że plac z ośmiokątną fontanną pośrodku i fasadą kościoła naznaczoną bliznami po odłamkach z czasów wojny ma swój dekadenski urok. To tutaj, dwanaście lat przed wojną, Gaudí został potrącony przez tramwaj.

Po drugiej stronie placu znajduje się bar z przytłumionym światłem i romantycznym tarasem, gdzie na każdym stoliku płoną świece, a w tle dyskretnie przygrywa skrzypek. Anna kieruje się w tamtą stronę, a widząc, że wszystkie stoliki na zewnątrz są zajęte, wchodzi do środka.

Nie mogę wejść za nią. Lokal jest zbyt mały. Wiem o tym, bo jakiś czas temu, na początku naszej znajomości, Anna mnie tu zabrała. Postanawiam więc czekać pod kamiennym łukiem budynku cechu szewców.

Zdaję sobie sprawę, że to niestosowne obwiniać osobę spoza związku za niewierność partnera, ale nie mogę powstrzymać się od obarczania winą Rosario. Gdyby Anna nie poznała na zajęciach zumby tej przedwcześnie owdowiałej imigrantki z Argentyny, nie miałbym teraz rogów jak wieże Sagrada Familia.

Pozwólcie, że wyjaśnię: moja partnerka zawsze miała słabość do osób pokrzywdzonych przez los. Choć traktuje dobrze wszystkich, bardziej angażuje się, jeśli należą do mniejszości. Kiedyś policzyłem, ile razy dzierżawiła chińskiemu sprzedawcy w sklepie z pamiątkami i Hiszpanowi w sklepie z narzędziami. Chiny – 4, Hiszpania – 1.

Kiedy Rosario – imigrantka i wdowa – opowiedziała historię swojego życia, Anna wzięła ją pod swoje skrzydła jak mama kaczką chroniąca najłabsze kaczątko. Zaprosiła ją kilka razy do nas na kolację i przedstawiła naszym przyjaciołom. Tydzień przed sylwestrem zapytała mnie, czy nie miałbym nic przeciwko, gdyby Rosario świętowała z nami Nowy Rok. Kiedy się zgodziłem, podskoczyła z radości i powiedziała, że tego wieczoru przyjdzie też Xavi, jej brat, i że może on i Rosario przypadną sobie do gustu.

I tak się stało. O drugiej w nocy zamknęli się w jednym z pokoi. Kiedy wyszli, Rosario oznajmiła, że jest zmęczona, a Xavi odprowadzi ją do metra. Anna zamykała za nimi drzwi, uśmiechając się od ucha do ucha.

Niestety relacja Xaviego i Rosario nie posunęła się dalej. Według tego, co powiedziała mi Anna, Rosario nie była gotowa na nowy związek. Najwyraźniej wołała przeżywać żałobę, zarywając noce w barach i klubach.

Mnie już od dawna nie kręć imprezy, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, by zabraniać ich Annie, zwłaszcza jeśli wspólna zabawa miałaby podnieść na duchu jej przyjaciółkę, która akurat przechodzi trudne chwile. Czy byłem nudziarzem? Być może. Nie zmienia to jednak faktu, że Anna dość szybko od niewinnych nocnych eskapad przeszła do sypiania z kimś innym.

Rozmyślając nad tym wszystkim, czekam przy wejściu na plac przez półtorej godziny. Napięcie sprawia, że nie czuję chłodu odchodzącej zimy. Nie jestem pewien, jak zareaguję, gdy się pojawią. Rozważam różne scenariusze. Najbardziej kusi mnie, aby stanąć w milczeniu przed Anną i obserwować jej reakcję. Skrzypek już dawno przestał grać, kiedy w końcu ją dostrzegam. Gdy za nią pojawia się Rosario, czuję się jak ostatni drań. A więc Anna mnie nie okłamała... Po raz pierwszy od tygodni dopuszczam myśl, że może jednak wcale mnie nie zdradza, że to wszystko wytwór moich lęków, że jestem cholernym paranoikiem.

Przyłgnąłem do ściany, bo gdyby mnie zobaczyła, umarłbym ze wstydu. Mam trzydzieści pięć lat, a zachowuję się jak smarkacz. W tamtej chwili jak nigdy wcześniej pragnę zapaść się pod ziemię.

Plac ma dwa wyjścia. Wychyłam się, by sprawdzić, czy idą w moją stronę, ale stoją na środku przy fontannie, zegnając się. Wygląda na to, że każda pójdzie w swoją stronę.

Rosario mówi coś do Anny, a ta wybuchła śmiechem i... całuje ją.

Czuję się, jakby potracił mnie tramwaj, tak jak kiedyś Gaudiego. Widok tego długiego, namiętnego pocałunku w usta jest ciosem, który pozostawia we mnie więcej blizn, niż znajduje się na fasadzie kościoła.

Rozdział 2

Kancelaria notarialna Hernández-Burrull mieściła się na placu Ibiza, w dzielnicy Horta – miejscu znacznie oddalonym od mojego mieszkania w Sants. Przed wejściem zdjąłem okulary przeciwsłoneczne i wyrzuciłem miętową gumę do kosza. Kac dawał się we znaki – czułem, jakby stado rozwrzeszczanych małą urządziło sobie imprezę w mojej głowie.

Dwie noce temu, gdy spotkałem Annę z Rosario, zabrakło mi odwagi, by stawić im czoła. Uciekłem biegiem przez wąskie uliczki Barrio Gótico, aż zdyszany wpadłem do baru i zamówiłem piwo. Potem kolejne. I tak do zamknięcia. W sumie cztery albo pięć – dość, by się nieźle wstawić. Zwykle zamiast barów wołę proteinowe shaki i sport na świeżym powietrzu.

Alkohol dodał mi brakującej odwagi. Wsiadłem do metra zdecydowany jechać do Anny, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie i pojechałem dwie stacje dalej, do domu rodziców. Tam spędziłem noc.

Następnego dnia zadzwoniłem do klienta, któremu malowałem mieszkanie, by odwołać robotę. Przespałem rano, a po południu gapiłem się w telewizor. Około szesnastej włączyłem telefon. Dwadzieścia dwa nieodebrane połączenia od Anny. Dwudzieste trzecie przyszło po pięciu minutach. Ostro się pokłóciliśmy. Powiedziałem wtedy słowa, których potem żałowałem setki razy.

Chwilę później znów szukałem baru. Gdy traciłem już rachubę w liczeniu wypitych piw, zadzwoniła jakaś kobieta z kancelarii notarialnej, mówiąc coś o jakimś spadku i testamencie. Kazałem jej się odczepić, ale oddzwoniła i, twierdząc, że to ważne, nalegała na spotkanie. Niewiele pamiętałem z tej rozmowy, na szczęście przysłała SMS z adresem kancelarii.

Tak więc następnego dnia, z podwójnym kacem i bez miętowej gumy, stanąłem w drzwiach eleganckiej kancelarii Hernández-Burrull.

– Nazywam się Julián Cucurell Guelbenzu – przedstawiłem się młodej recepcjonistce. Skinęła głową, jakby na mnie czekała, i wskazała skórzane fotele wokół pustego stolika kawowego.

– Proszę usiąść, panie Cucurell. Notariusz wkrótce pana przyjmie.

Najwyraźniej w świecie notariuszy „wkrótce” oznacza pięćdziesiąt minut. Dla zwykłego śmiertelnika takiego jak ja, zajmującego się remontami mieszkań, to strata co najmniej czterdziestu euro zarobku.

Kiedy sekretarka w końcu wpuściła mnie do gabinetu, byłem już mocno zirytowany. Na domiar złego w pomieszczeniu unosił się duszący zapach wody kolońskiej. Zdecydowanie brakowało tu świeżego powietrza.

Moją uwagę przykuło wypolerowane drewniane biurko wielkości boiska Camp Nou. Było puste, nie licząc laptopa, tekturowej teczki i metalowej urny bez kwiatów. Za biurkiem stał szczupły, drobny mężczyzna o wystających kościach policzkowych i ciemnych worach pod oczami. Przypominał bardziej grabarza niż notariusza. Przedstawił się jako Joan Hernández.

– Dzień dobry, panie Cucurell. Proszę usiąść. Bardzo mi przykro z powodu śmierci pana wuja.

Miałem ochotę powiedzieć, że nie musi składać kondolencji, bo o istnieniu wuja dowiedziałem się dopiero od jego sekretarki. Postanowiłem jednak zachować tę informację dla siebie.

– Przepraszam za zwłokę, lecz w takich przypadkach musimy poczekać na potwierdzenie policji, że doszło do wypadku, a nie zabójstwa. Nieprzyjemna procedura, wiem, ale prawo tego wymaga.

Przytaknąłem bez słowa. Hernández otworzył teczkę i założył okulary.

– Fernando Cucurell Zaplana zmarł cztery miesiące temu, potrącony przez samochód dwieście metrów od swojego domu. Oto akt zgonu. W 1992 roku pan Cucurell sporządził w naszej kancelarii testament, w którym wyznaczył pana na jedynego spadkobiercę.

Szybko policzyłem w myślach. W 1992 miałem siedem lat. Ów wuj musiał wiedzieć o moim istnieniu, choć ja nie miałem pojęcia o jego.

– Pan Cucurell miał na koncie w Banco Sabadell osiem tysięcy sto dwa euro i siedem centów. Dam panu dokument potrzebny do wystąpienia

o zmianę właściciela konta. Procedury potrważą co najmniej kilka tygodni, ale po tym czasie będzie mógł pan nim swobodnie zarządzać. Proszę tu podpisać. To upoważnienie do pobrania z tego konta mojego honorarium i potrącenia podatku spadkowego.

Kiedy zobaczyłem wysokość jego wynagrodzenia, zrozumiałem, czemu nie ma biednych notariuszy.

– Ponadto wuj przepisał panu ziemię w Patagonii.

– W tej Patagonii?

– Tak. Pół hektara w małej wiosce El Chaltén na południu Argentyny – wyjaśnił, odczytując szczegóły z jednego z dokumentów. – Położona w kwartale 7, działka 2, przy ulicy San Martín, między Huemul i Los Cóndores.

– Przypuszczam, że za sprzedaż tej ziemi również pobierze pan nie małe honorarium.

Notariusz zaśmiał się pod nosem tak, jak z pikantnych dowcipów śmieją się ludzie z wyższych sfer.

– Panie Cucurell, obawiam się, że tu nie będę w stanie panu pomóc. Żeby sprzedać tę działkę, musi pan tam pojechać osobiście. Przy okazji mógłby pan spełnić ostatnią wolę wuja, do czego oczywiście nie jest pan prawnie zobligowany. Byłby to jednak miły gest z pańskiej strony.

Mężczyzna wskazał na metalowy wazon na biurku, poprawił okulary i przeczytał na głos.

– „Proszę Juliána, aby rozsypał moje prochy nad jeziorem Laguna de los Tres, jednym z najpiękniejszych miejsc na Ziemi”.

Ten wazon od początku nie pasował mi do wystroju gabinetu.

– To prochy Fernanda Cucurella – powiedział, przesuwając naczynie uroczystym gestem w moją stronę. Zauważyłem, że pod urną leżały papierowe serwetki, zapewne po to, by nie porysować blatu.

W wypolerowanej stali ujrzałem własne odbicie. W środku spoczywały szczątki nieznanego mi brata ojca.

– Jest pan pewien, że nie da się sprzedać tej działki na odległość?

– Cóż, gdyby miał pan w Argentynie zaufaną kancelarię prawną, mógłby pan udzielić im pełnomocnictwa. Oni zajęliby się sprzedażą ziemi i przelaliby panu pieniądze.

– Nie znam nikogo w Argentynie, a tym bardziej żadnych prawników. Notariusz posłał mi delikatny uśmiech równoznaczny ze wzruszeniem ramionami – gest symbolicznego umywania rąk i cicha prośba, bym nie marnował więcej jego cennego czasu.

– Muszę sprawdzić, czy podróż tam nie będzie kosztować mnie więcej niż zysk ze sprzedaży działki. Czy wie pan, ile w przybliżeniu może być warta ta ziemia?

Przypomniałem sobie, jak kiedyś Anna wspomniała, że Rosario pochodzi z małej argentyńskiej wioski. Za pieniądze ze sprzedaży rodzinnej działki ledwo starczyło jej na bilet lotniczy do Barcelony i czynsz za dwa miesiące najmu mieszkania.

– Jak pan zapewne rozumie, nie jestem ekspertem od rynku nieruchomości w Patagonii. Ale gdybym miał oszacować, powiedziałbym, że jej wartość może wynosić między trzysta a pięćset tysięcy euro.

– Kurwa. Serio?

– Nigdy pan nie słyszał o El Chaltén, mam rację?

– No nie.

– To niech pan to sprawdzi.

Rozdział 3

Popołudnie spędziłem w mieszkaniu w dzielnicy Sarriá, gdzie malowałem jadalnię na jasnozielony kolor – bogacz z kiepskim gustem potrafi narobić wiele szkód.

Wychodząc z apartamentu, przeszło mi przez myśl, by zabrać ze sobą stojącą na komodzie butelkę, ale każdy syn alkoholika wie, że upijanie się trzy dni z rzędu to fatalny pomysł.

Bezskutecznie próbowałem skontaktować się z rodzicami, którzy byli w podróży rejsem po norweskich fiordach. W odpowiedzi dostałem SMS-a, że tego popołudnia płyną przez obszar bez zasięgu, a wi-fi na statku jest bardzo słabe. Umówiliśmy się na rozmowę o dziewiętej, gdy zacumują w Bergen.

Pozostała mi więc tylko jedna opcja: wrócić do mieszkania i odbyć z Anną jedną z najtrudniejszych rozmów w moim życiu.

Dotarłem na miejsce około siódmej wieczorem, trzymając pod pachą urnę z prochami wuja. Na stole w jadalni znalazłem kartkę: „Myślę, że lepiej będzie, jeśli damy sobie trochę czasu, zanim znów porozmawiamy. Jadę do rodziców”.

W trudnych chwilach ludzie często szukają sposobów, by poradzić sobie z emocjami. Moim „lekarstwem” jest dopamina. Łatwiej mi znośić smutki, kiedy ćwiczę. Sześćdziesiąt podciągnięć i sto pompek to mój sprawdzony sposób na poprawę samopoczucia. Postanowiłem więc zebrać siły, przebrać się w strój sportowy i oddać się jedynej aktywności, która mogła przynieść mi ulgę.

Poszedłem do osiedlowego parku z przyrządami do kalisteniki i zacząłem trening. Pozostali ćwiczący, głównie nastolatki słuchający głośnego reggaetonu z telefonów, przyglądali mi się ze zdziwieniem

i lekkim niepokojem. Trudno pozostać niezauważonym, gdy jest się łysym, prawie dwumetrowym mężczyzną o masie osiemdziesięciu ośmiu kilogramów, z czego większą część stanowią mięśnie.

Endorfiny uwolnione podczas ćwiczeń sprawiły, że poczułem się trochę lepiej. Jednak gdy wróciłem do domu i ponownie przeczytałem liścik od Anny, smutek powrócił.

Po prysznicu przygotowałem sobie litr koktajlu proteinowego z owocami i migdałami. Nie miałem ochoty gotować, a do rozmowy z rodzicami zostało niecałe pół godziny.

Usiadłem przy stole w jadalni i włączyłem laptopa, odsuwając na bok kartkę od Anny i urnę z prochami wuja. Według Wikipedii El Chaltén to miasteczko liczące dwa tysiące mieszkańców, założone w 1985 roku – tym samym, w którym przyszedłem na świat. Argentyna stworzyła je z niczego, aby zakończyć spór z Chile o suwerenność nad tym terenem. Zdjęcia ilustrujące artykuł nie przedstawiały nic nadzwyczajnego – niskie domy na jałowej ziemi, a w tle kilka ośnieżonych górskich szczytów. Przeszedłem do Map Google i włączyłem widok satelitarny. Na wschód od miasteczka rozciągała się brunatna równina, a na zachód – ogromna, biała przestrzeń.

El Chaltén, liczące zaledwie dwadzieścia lub trzydzieści przecznic, leżało u zbiegu dwóch rzek. Zaskakujące było to, że na każdej z ulic mapa pokazywała po kilka lokali gastronomicznych i noclegowych. Miasto sprawiało wrażenie, jakby miało więcej barów, restauracji i hoteli na metr kwadratowy niż Barcelona.

Wypiłem już połowę koktajlu, gdy odkryłem, że El Chaltén założono w samym sercu parku narodowego, co mocno ograniczało możliwości jego rozbudowy. Wysoka wartość ziemi, o której wspominał notariusz, zaczynała nabierać sensu.

Wśród dokumentów znalazłem adres działki, którą przepisał na mnie nieznanym wuj: ulica San Martín bez numeru, między ulicami Huemul i Los Cóndores. Kwartał ten był położony przy głównej ulicy miasteczka. W jego lewej części stał jeden z największych budynków w El Chaltén. Google nie podawało, co to za obiekt, więc mogłem tylko zgadywać – szkoła albo wyjątkowo okazała rezydencja. Mój wzrok

jednak szybko powędrował na drugą część parceli – pustą, jałową i wyglądającą jak samotna wyspa na oceanie barów i restauracji.

Patrząc na ten odludny prostokąt ziemi na końcu świata, dopiłem resztę mojego napoju.

Ile kosztował bilet do Argentyny? Szybko to sprawdziłem: osiemset euro w obie strony, bez jedzenia i bagażu. Krzykliwy czerwony baner reklamował wprawdzie ofertę za czterysta, ale tylko przy rezerwacji w ciągu sześciu godzin. Na koncie miałem tysiąc pięćset euro, z czego wkrótce potrąca mi trzysta euro tytułem składki na ubezpieczenie społeczne. Lepiej poczekać na wypłatę ośmiu tysięcy – minus wydatki i podatki – o których mówił mi notariusz.

Sygnal przychodzącego połączenia wideo wyrwał mnie z rozmyślań. Odebrałem. Na ekranie pojawiło się ucho matki i podwójny podbródek ojca.

– Odsuńcie trochę telefon, bo was nie widzę.

– A teraz?

– Lepiej. – Widziałem po jednym oku każdego z nich. – Jak tam w Norwegii? Zmarzliście?

– Ależ skąd. Mamy cudowną pogodę. Czasem kropi lekka mżawka – odpowiedziała moja matka.

– A jak kuchnia na statku?

– Ujdzie – mruknął ojciec. Matka pokręciła głową.

– Ci ludzie przez cały dzień jedzą prawie wyłącznie ziemniaki! – powiedziała z wyraźnym oburzeniem. – No ale przecież nie dla frykasów tam pojechaliśmy.

Słyszając to ktoś mógłby pomyśleć, że moja matka jest świetną kucharką. I przeliczyłby się sromotnie. Biedaczka ma fobię na punkcie noży. Dosłownie. Nazywa się to aichmofobia i zawsze była jej wymówką, tłumaczącą brak kulinarnego talentu. W domu jadalśmy dobrze, fakt, ale to zasługa ojca.

– Poznaliśmy bardzo sympatyczną parę z Sewilli, która też mieszka w Barcelonie – dodała matka. – A wczoraj jedliśmy kolację z kapitanem. Nie masz pojęcia, jaki to elegancki mężczyzna. Przystojniak, z klasą. W dodatku bardzo miły.

– Skąd wiesz, że miły, skoro nic nie mówił?! – oburzył się ojciec. – Facet nie znał ani słowa po hiszpańsku, kobieto.

– Za to ty norweski opanowałaś perfekcyjnie – wtrąciłem z przekąsem.

Ojciec uśmiechnął się, obnażając idealne, sztuczne uzębienie. Prawdziwe zęby stracił w wypadku samochodowym, jadąc z Barcelony do Bilbao, jeszcze przed moimi narodzinami.

Mama też się uśmiechała. Widać było, że są szczęśliwi. To był ich pierwszy wspólny wyjazd od dawna. Od miesiąca miodowego na Wyspach Kanaryjskich nie mieli zbyt wielu okazji do podróżowania, nie z braku pieniędzy, lecz czasu, którego wiecznie brakowało mojej matce, odnoszącej sukcesy pani architekt.

Ojciec miał go aż nadto. Po latach pracy w budowlance przeszedł na emeryturę w wieku sześćdziesięciu lat z powodu problemów z sercem.

Rzadko udawało mu się przekonać matkę, by nie odkładać wszystkiego na później. Ale gdy się uparł, ruszali w podróż, tak jak teraz, w rejs po krajach nordyckich.

Było mi przykro, że muszę poruszyć temat zmarłego wujka w trakcie ich urlopu.

– Słuchaj, tato, mam pytanie. Czy ty masz brata?

Zesztywniał. Gdyby nie poruszająca się matka, pomyślałbym, że połączenie się zawiesiło.

– Czemu pytasz o to teraz, synu?

– Przepraszam, że pytam w takiej chwili.

– Mam brata, ale od lat nie utrzymujemy kontaktu.

– Czy musimy o tym rozmawiać teraz, przez to urządzenie? – obruszyła się matka. – Nie możesz poczekać z tym do naszego powrotu, Juliánie?

– Nie, mamo. Właśnie zadzwonił do mnie notariusz z informacją, że Fernando Cucurell zmarł cztery miesiące temu, a ja jestem jego jedynym spadkobiercą.

Ojciec pogłaskał się ręką po łysej głowie i utkwiał wzrok gdzieś ponad telefonem. Domyśliłem się, że wyglądał przez okno kajuty.

– Uspokój się, kochanie – powiedziała do niego.

Zamilkliśmy na kilka sekund. Matka głaskała znieruchomiłego ojca po ramieniu, a ja nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Gdzie zmarł Fernando? – zapytał w końcu ojciec.
- W Barcelonie.
- To wstrząsnęło nim jeszcze bardziej.
- Jak to się stało?
- Potracił go samochód. Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałeś, tato?
- Jeszcze przed twoimi narodzinami.
- Ale on wiedział o moim istnieniu. W 1992 roku, gdy miałem siedem lat, sporządził testament na moją rzecz.
- Bo ja mu powiedziałam – wtrąciła matka ku zaskoczeniu ojca.
- Wkrótce po twoim przyjściu na świat spotkałam go na spacerze. Byłam wtedy z tobą, spałeś w wózku. Powiedziałam mu, że został wujkiem.
- Ojciec wciąż milczał.
- Nie rozmawialiśmy długo. On był z jakąś kobietą, a ja z koleżanką. Dałam mu nasz numer telefonu, ale nigdy nie zadzwonił.
- Nawet nie wiedziałem, że mieszkał w Barcelonie – wyszeptał ojciec łamiącym się głosem.
- Myślałeś, że przebywa w Patagonii?
- W Patagonii? O czym ty mówisz, Juliánie?
- Główna część spadku to działka w miasteczku El Chaltén na południu Argentyny. Akt własności pochodzi z 1988 roku.
- Rodzice popatrzyli po sobie ze zdumieniem, jakbym właśnie oświadczył, że adoptowałem zielonego psa.
- Czemu nigdy nie powiedziałeś mi o swoim bracie, tato? – zapytałem najuprzejmiej, jak umiałem.
- Synu, nie wydaje ci się, że to mało odpowiedni moment, aby zadać ojcu takie pytania?
- To moment jak każdy inny. Jeśli przez trzydzieści pięć lat nie znaleźliście okazji, by mi o tym powiedzieć, to dlaczego nie teraz?
- Ojciec otarł łzy z kącików oczu.
- Porozmawiamy o tym, gdy wrócimy do Barcelony. Dziękujemy, że nas powiadomiłeś. Zrobiłeś, co należało.
- Zanim zdążyłem cokolwiek dodać, ojciec zakończył połączenie.

Rozdział 4

Przed wyjazdem nie zdążyłem porozmawiać z rodzicami osobiście. Moje finanse nie pozwalały mi na podróż na drugi koniec świata, ale skusił mnie jaskrawoczerwony baner. Bardziej niż oferta przekonała mnie perspektywa wyrwania się z Barcelony. Ten odległy zakątek świata stanowił doskonałą wymówkę, by uniknąć spotkania z Anną i tłumaczenia rodzicom, co między nami zaszło. Gdy startowałem z lotniska El Prat w kierunku Ezeiza, matka i ojciec nie wrócili jeszcze z Norwegii.

Rozstanie z Anną miało swoje plusy – nie musiałem już zabiegać o to, by zyskała sympatię moich rodziców. Przez trzy lata w pełni jej nie zaakceptowali. Za uprzejmością, z jaką ją traktowali, krył się chłód. Kiedyś matka, mimo swoich feministycznych i postępowych poglądów – byłem jedynym uczniem w klasie, któremu rodzice dawali zabawki „dla chłopców” i „dla dziewczynek” – powiedziała mi, że w oczach każdej matki żadna kobieta nie jest dość dobra dla jej syna. Ojciec natomiast zawsze robił to, co mówiła żona.

Podróż do El Chaltén trwała trzy dni. Ostatni, lądowy etap po dwóch przesiadkach lotniczych zajął prawie trzy godziny. Autobus wypełniony turystami – Argentyńczykami i obcokrajowcami, w tym kilkoma Hiszpanami – wyruszył z El Calafate, by zatrzymać się dopiero na dworcu w El Chaltén. Moim, na szczęście małym, towarzyszem podróży był Włoch.

Czułem się jak outsider – ni to turysta, ni miejscowy. Byłem jedynym pasażerem autobusu wiozącym prochy zmarłego krewnego w plecaku.

Czekając na odbiór walizki, studiowałem mapę przysланą przez pracowników El Relincho – najtańszego dostępnego miejsca noclegowego wokolicy. El Relincho, podobnie jak działka mojego wujka, znajdowało się

przy ulicy San Martín. Planując trasę, usłyszałem za sobą rozmowę dwóch Hiszpanek.

– Nie widać go – westchnęła jedna.

– Co za pech – odpowiedziała druga. – Oby jutro pogoda się poprawiła.

Odwróciłem się dyskretnie. Turystki w moim wieku wskazywały ogromny dom na zboczu góry, która, jak widziałem na mapie, wyznaczała granicę miasteczka.

– Może jutro będziecie miały szczęście – wtrąciła Argentynka, która również wysiadła z autokaru. Zwracała się jednocześnie do nich i do mnie, jakbyśmy stanowili grupę. – Niektórzy czekają cały tydzień, a i tak nie mają szczęścia go zobaczyć.

– Niech pani tak nie mówi, bo dostanę ataku serca – powiedziała jedna z dziewczyn.

– Nie martw się, kochanie. Poza tym zapowiadają poprawę pogody. Nie masz pojęcia, jak lało w ostatnich tygodniach.

– Przepraszam – wtrąciłem. – O czym mówicie?

– O Fitz Roy – wyjaśniła jedna z turystek, znów wskazując na górę. Tym razem zauważyłem, że jej palec skierowany jest w miejsce nad budynkiem.

– Kiedy jest pochmurno, nie widać go – doprecyzowała kobieta. – Wydaje się, że za tym domem jest już tylko niebo. Ale w pogodny dzień widok jest spektakularny.

Na zdjęciach szczyt Fitz Roy wyglądał pięknie, lecz przyznaję, że tamtego szarego popołudnia nie potrafiłem zrozumieć entuzjazmu kobiet.

Po mojej prawej stronie ciągnęły się hotele, restauracje, biura podróży i piwiarnie reklamujące *happy hours* od 17 do 20. Po przeciwnej stronie rozciągały się drewniany plac zabaw dla dzieci oraz budynki, jak sądziłem, użyteczności publicznej – szkoła, ratusz itp.

Według mapy, którą trzymałem w ręku, za dwie przecznice miałem po raz pierwszy zobaczyć działkę, dla której przebyłem pół świata. Mimo grubego płaszcza zacząłem drżeć. Niektórzy ze zdenerwowania obgryzają paznokcie albo się pocą. Mnie robi się zimno.

Szedłem w milczeniu, patrząc prosto przed siebie. Na rogu San Martín i Los Cóndores natrafiłem na wielki budynek, dzielący, jak widziałem w Internecie, kwartał z działką wuja. Zdezelowana tabliczka głosiła „Hotel”, ale drewniane okiennice były zamknięte, a farba złuszczone. Od lat nikt nie gościł w tym miejscu.

Z hotelowej werandy pomachał do mnie mężczyzna. Miał prawie pięćdziesiąt lat, ale w jego spojrzeniu było coś dzieciennego. Odwzajemniłem pozdrowienie i przyspieszyłem kroku.

Im bardziej oddalałem się od opuszczonego budynku, tym szerzej odsłaniała się przede mną piękna łąka. Rustykalne ogrodzenie z bali było w dobrym stanie. Zapewne dbał o nie urząd miasta, by nie szpeciło okolicy.

Gdy stanąłem przed całym odziedziczonym terenem, mój żołądek zacisnął się tak, jakby ktoś dał mi cios pięścią w brzuch. Wbrew obrazowi z Google łąka nie była pusta. W ostatnich latach ktoś postawił na niej cztery drewniane domki i dwie szopy. Przy płocie wisiała tablica reklamująca przejażdżki konne i domki do wynajęcia: „Cabalgatas Aurora. Se alquilan cabañas por día”.

Nie miałem odwagi wejść na teren. Zapadał zmrok, a ja czułem się kompletnie wyczerpany. Postanowiłem podjąć jakąś decyzję następnego dnia, gdy wrócę tu z chłodną głową.

Po przejściu dwóch przecznic dotarłem wreszcie do El Relincho. Miejsce niewiele różniło się od tego, które właśnie opuściłem – mojej działki, rzekomo. Przeszedłem przez łąkę, podążając za drewnianymi drogowskazami do recepcji – nowoczesnej konstrukcji z blachy i betonu. Wnętrze przypominało typowy hostel dla turystów: muzyka, duże stoły, wspólna kuchnia, goście w klapkach jedzący makaron z tuńczykiem lub surfujący po sieci, wpatrzeni w telefony.

Przywitał mnie chłopak, który miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i przedstawił się jako Macario. Wziął mój paszport i zajął się procedurą *check-in* na laptopie.

– Julián Cucurell – odczytał z ekranu – tu cię mam. Rezerwacja na piętnaście dni, zgadza się?

– Tak.

– Super, zdążysz poznać wszystkie szlaki. Goście zwykle nie zostają dłużej niż tydzień.

Uśmiechnąłem się.

– Fajnie jest przyjechać tu bez pośpiechu – ciągnął. – W pochmurne dni, jak dziś, jednodniowe wycieczki wiele tracą. Jeśli masz możliwość, warto poczekać na słońce i poznać całą okolicę.

Zeskanowałem mój paszport, a ja uregulowałem pozostałe pięćdziesiąt procent należności.

– Chodź, pokażę ci twoją chatę.

Macario poprowadził mnie przez łąkę do schludnego, drewnianego domku z dwiema sypialniami, łazienką i kuchnią z kominkiem.

– Aha, jeszcze jedno, sygnał wi-fi bywa tu słaby – dodał. – To zależy od dnia. Jeśli nie będziesz mógł się połączyć, podejdź bliżej recepcji, tam na pewno go złapiesz. I gdybyś czegoś potrzebował, mnie też tam znajdziesz.

– Jesteś miejscowy? – zapytałem. Macario uśmiechnął się.

– Tu prawie nikt nie jest miejscowy. Moja rodzina przeprowadziła się do El Chaltén, gdy miałem dziesięć lat.

– Więc mieszkasz tu od dawna. Słuchaj, mam pytanie. Idąc z dworca, widziałem szyld firmy oferującej przejażdżki konne. Przejażdżki konne Aurora, chyba tak się nazywają. Co sądzisz o ludziach, którzy je prowadzą? Polecasz ich?

Kto by pomyślał, że ja, człowiek panicznie bojący się koni, będę zadawać takie pytania.

– Tak, ich wycieczki są warte swojej ceny. Poza tym Rodolfo i Laura, małżeństwo będące właścicielami, mają ogromną wiedzę. Ostatnio organizują mniej wyjazdów, bo Rodolfowi brakuje czasu. Od dwóch lat pełni funkcję burmistrza. Zajęty urzędowaniem i budową nowych domków na działce nie ma czasu na nic innego.

Świetnie. „Okupa” – dziki lokator na mojej ziemi – to nikt inny jak burmistrz miasta.

Rozdział 5

Następnego dnia obudził mnie hałas dobiegający z zewnątrz. Wyrzależem przez okno i zobaczyłem Macario wraz z nieznaną mi dziewczyną, którzy z trudem ustawiali przed moją chatką ciężki grill. Była to dwustulitrowa metalowa beczka zamontowana poziomo na czterech nogach, z kominem wystającym z boku.

Macario, zauważywszy mnie przez szybę, pomachał ręką, wskazując na urządzenie.

– To *chulengo* – wyjaśnił. – Przynieśliśmy ci go na wypadek, gdybyś miał ochotę na grilla.

Skinąłem głową w podziękowaniu i ruszyłem do łazienki. Nigdy nie byłem fanem grillowania.

Stojąc pod strumieniem gorącej wody, czułem, jak zmęczenie znika, a w głowie powoli rodzi się plan działania. Była sobota, więc musiałem poczekać do poniedziałku, by udać się do urzędu miasta z dokumentami własności i testamentem. Nie zamierzałem jednak spędzić tych dwóch dni beczynnice.

O jedenastej wyszedłem na ulicę. Mimo że dzień był równie pochmurny co poprzedni, wąskimi chodnikami przechadzało się wielu obładowanych plecakami turystów.

Nogi same poniosły mnie w stronę posiadłości wuja. Obok chatki z napisem „Recepcja” dostrzegłem kobietę w moim wieku, która szczotkowała siwego konia. Ominąłem niskie ogrodzenie z bali i wszedłem na posesję przez bramę obok drewnianego szyldu z napisem „Cabalgatas Aurora”.

– Dzień dobry – przywitałem się, zachowując bezpieczny dystans od zwierzęcia.

– Dzień dobry – odpowiedziała, podnosząc wzrok i obdarzając mnie profesjonalnym uśmiechem. Jej brązowe oczy i kasztanowe włosy przykuły moją uwagę.

– Chciałbym dowiedzieć się więcej o przejażdżkach konnych. Jak to wygląda i ile kosztuje?

Kobieta poklepała konia po szyi i wyciągnęła do mnie rękę na powitanie.

– Oczywiście, jestem Laura. Proszę za mną do środka.

Imię Laura zaskoczyło mnie. Według Macario tak nazywała się żona burmistrza, ale ta kobieta wydawała się zbyt młoda na taką rolę.

W recepcji Laura wręczyła mi czarno-białą ulotkę. Zadałem jej kilka pytań dotyczących najdroższej oferty, na które cierpliwie i szczegółowo odpowiedziała. W pewnym momencie wspomniała, że Aurora to najstarsza firma organizująca przejażdżki konne w El Chaltén.

– Mieszkasz tu od dawna? – zapytałem.

– Nie, zaledwie od kilku lat. Ale Rodolfo, właściciel firmy, jest jednym z tutejszych pionierów. Sprowadził się do El Chaltén na początku lat dziewięćdziesiątych.

– Myślałem, że wioskę założono w 1985 roku.

– To prawda! Widzę, że się dobrze przygotowałeś? – zaśmiała się.

– Jedyne trochę poczytałem o tym miejscu – przyznałem.

Laura rozejrzała się konspiracyjnie i ściszyła głos.

– W Chaltén ludzie lubią chełpić się statusem pioniera. Największe chwaliپیęty utrzymują, że są tu od samego początku, choć wielu przyjechało dopiero po 2000 roku. Ale Rodolfo, moim zdaniem, zasługuje na to miano. Gdy się tu sprowadził, nie było tu absolutnie nic. Kompletne pustkowienie.

– Opląciło się. Dzisiaj taki teren jest z pewnością wart fortunę.

– Fortunę i pół. Ale kto chciałby sprzedawać? Po co? To nie takie proste, bo wioska leży w parku narodowym i nie może się rozbudować. Są tu ludzie mieszkający od ośmiu, dziesięciu lat i nadal nie mają swojego kawałka ziemi. Niektórzy nawet zaczęli budować się na działkach, które do nich nie należą.

– Czyli nawet tutaj pojawiają się „okupas”. – Laura przytaknęła bez cienia urazy.

– Oferujemy też piesze wycieczki po lodowcu Viedma. Byłeś kiedyś na lodowcu?

– Nie. Czy to niebezpieczne?

– Nie, jeśli masz doświadczonego przewodnika. Rodolfo oprowadza ludzi od dziesięcioleci. To niezapomniane przeżycie. Nie opuszczaj Chaltén bez zasmakowania tej przygody. To kosztowne, ale wspomnienia są bezcenne.

– Brzmi interesująco – odparłem, podtrzymując rozmowę.

– Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję. Chociaż... zaintrygowała mnie kwestia gruntów. Czy tę działkę rodzina Rodolfa otrzymała po przeprowadzce tutaj?

– Dlaczego pytasz?

– Ponieważ, o ile mi wiadomo, należy ona do niejakiego Fernando Cucurella.

Laura spojrzała na mnie zaskoczona. Życzliwość nagle zniknęła z jej twarzy.

– Nie jesteś turystą.

– Nazywam się Julián Cucurell. Fernando Cucurell był moim wujem. Zmarł niedawno, a ja jestem jego jedynym spadkobiercą.

– Dlaczego od razu nie powiedziałaś, czego chcesz? Po co marnujesz mój czas? Nie widzisz, że pracuję?

– Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać.

– Bardzo nie lubię, gdy ktoś mnie okłamuje.

Laura uderzyła dłońmi o ladę i wyszła z recepcji. Ruszyłem za nią.

– Naprawdę mi przykro.

– Jeśli chcesz porozmawiać z Rodolfem, przyjdź później – powiedziała, wracając do szrotkowania konia.

– Spieprzyłem sprawę. Przepraszam...

Laura westchnęła i odwróciła się. Machnęła szrotką, jakby ścierała niewidzialną tablicę.

– Wybaczam ci – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – A teraz pozwól, że wrócę do pracy.

Wolną ręką wskazała mi wyjście.

Rozdział 6

Okolo siódmej wieczorem rozległo się pukanie do drzwi mojej chaty. W progu stał przystojny mężczyzna po sześćdziesiątce. Gęste, siwe włosy i nowoczesne okulary w stylowych oprawkach sprawiały, że wyglądał jak model z reklam dla seniorów. Przypominał mi ojca Anny – typ mężczyzny, który pomimo zaawansowanego wieku wciąż emanuje witalnością. Szerokie ramiona i płaski brzuch zdradzały, że regularnie ćwiczy. W rękę trzymał kopertę.

– Nazywam się Rodolfo Sosa, jestem właścicielem Cabalgatas Aurora – przedstawił się.

– Proszę wejść – zaprosiłem go do środka.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł.

– Przypuszczam, że przychodzi pan z powodu rozmowy, którą odbyłem z pańską żoną. Przeprosiłem ją, a teraz chciałbym przeprosić i pana.

Mężczyzna zrobił krok w moją stronę. Szybko oceniłem swoje szanse w ewentualnej konfrontacji – mimo regularnych treningów, mógłbym mieć problem, aby mu dorównać.

– Proszę pójść ze mną – rzucił, oddalając się od chatki. – No dalej, nie gryzę.

Zawahałem się, ale uznałem, że opór niczego nie zmieni. Przyspieszyłem kroku, by go dogonić.

– Ta kobieta, Laura, nie jest moją żoną – wyjaśnił, gdy się z nim zrównałem. – Moja żona także ma na imię Laura, ale dziewczyna, z którą rozmawiałeś, to przewodniczka. Pomaga przy koniach i wybieżkach.

– Rozumiem.

– Ma bardzo specyficzny charakter – dodał.

– Mimo wszystko źle ją potraktowałem.

Rodolfo Sosa zatrzymał się gwałtownie i spojrzał na mnie znad okularów.

– Tak, zachowałeś się niewłaściwie. Tutaj cenimy ludzi szczerych, mówiących prawdę.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Mężczyzna ruszył dalej, aż dotarliśmy do ogrodzenia Cabalgatas Aurora.

– Więc twierdzisz, że ta ziemia jest twoja? – spytał, wskazując na chatki. – Mam testament, w którym wymieniono mnie jako spadkobiercę. W akcie własności stoi jasno: pół hektara przy ulicy San Martín między Huemul a Los Cóndores. Kwartał 7, działka 2.

Sosa pokręcił głową i zachichotał.

– W takim razie jesteśmy sąsiadami. Moja nieruchomość to działka 1. Działka 2 znajduje się tam – wskazał palcem.

– Opuszczony hotel?

– To posiadłość Fernanda Cucurella.

– Ale w akcie własności widnieje, że to pusta działka.

– To dlatego, że nie zaktualizowano wpisów w księgach.

Poczułem, jak ze wstydu płoną mi policzki. Patrząc na zdjęcie satelitarne kwartału, założyłem, że pół hektara mojego wuja to niezabudowana część terenu.

– Rozpada się, ale to piękny budynek – dodał.

Przytaknąłem, uważnie studiując fasadę hotelu. Drewno okiennic było szare z zaniedbania, a część dużych otoczaków, którymi wykończono zewnętrzne ściany, odpadła, pozostawiając cementowe dziury, przez co przypominały mi fasadę kościoła Sant Felip Neri. Gdyby nie fatalny stan, budynek ten nie różniłby się zbyt od innych domów, które moja matka projektowała w górach dla bogaczy.

– Jeśli naprawdę jesteś spadkobiercą Cucurella, to twój jest ten hotel, a nie moja działka.

– Mam testament. Jeśli chce pan, mogę go panu pokazać. – Mężczyzna uniósł ręce w geście pokoju.

– Wierzę ci. Pokażesz te dokumenty komu trzeba.

– Muszę pana przeprosić. Sugerując się aktem i zdjęciami z Internetu, byłem przekonany, że chodzi o pańską działkę. W żadnym wypadku nie chciałem insynuować... Cholera, co za fatalny początek znajomości, prawda?

Mężczyzna położył swoją wielką dłoń na moim ramieniu.

– Każdy może się pomylić, chłopcze. Nic się nie stało. Poza tym akty własności wydaje się tutaj bardzo długo i nie zawsze odzwierciedlają one stan faktyczny. Dużo ludzi zbywa swoje działki i nigdy nie aktualizuje rejestrów.

– Wie pan, w którym roku zbudowano hotel?

– Uff, na pewno przed rokiem dziewięćdziesiątym.

– Wygląda na to, że od dawna stoi pusty.

– Bardzo długo. Co najmniej dwadzieścia pięć lat.

Wskazałem na drewniany ganek otaczający masywne, zamknięte drzwi.

– Wczoraj ktoś tam siedział – powiedziałem.

– Danilo. Chłopak z miasteczka.

– Nie, to był mężczyzna starszy ode mnie. Około pięćdziesięciu lat.

– To jest Danilo. Jak go poznasz, wszystko zrozumiesz.

Sosa uśmiechnął się nieco niezręcznie, przeszukał kieszenie i wyciągnął pęk kluczy. Mój wzrok padł na kopertę, którą trzymał w jednej dłoni.

– Ach, to chyba do ciebie. Leżała pod drzwiami twojej chatki. Podniosłem ją, zanim zapukałem, żeby nie porwał jej wiatr.

– Dziękuję – powiedziałem.

Na kopercie nie było ani nazwiska, ani adresu. Wsunąłem ją do kieszeni, nie chcąc otwierać jej przy nim.

– Pewnie masz wiele pytań.

– Mnóstwo. Kiedy został zbudowany, dlaczego go zamknięto i wiele podobnych.

Mężczyzna gestem zaprosił mnie, bym za nim poszedł. Obszedł swój teren i skierował się w stronę hotelu. Gdy jednak dotarliśmy do drzwi, tylko rzucił na nie okiem i ruszył dalej.

– Dokąd idziemy?

– Chodź ze mną, zobaczysz.

Ruszyliśmy do centrum miasteczka. Gdy mijaliśmy aptekę, Sosę zatrzymała jakaś kobieta i zaczęła wypytywać o rozbudowę sieci gazu

ziemnego. Mężczyzna dał mi znak, a ja odsunąłem się o kilka kroków, by mogli spokojnie porozmawiać.

Skorzystałem z okazji, by zajrzeć do koperty. W środku znajdowała się kartka z wiadomością wydrukowaną czcionką Comic Sans:

„Sprzedaj hotel i wyjedź cieszyć się pieniędzmi gdzie indziej. Nie jesteś mile widziany w El Chaltén”.